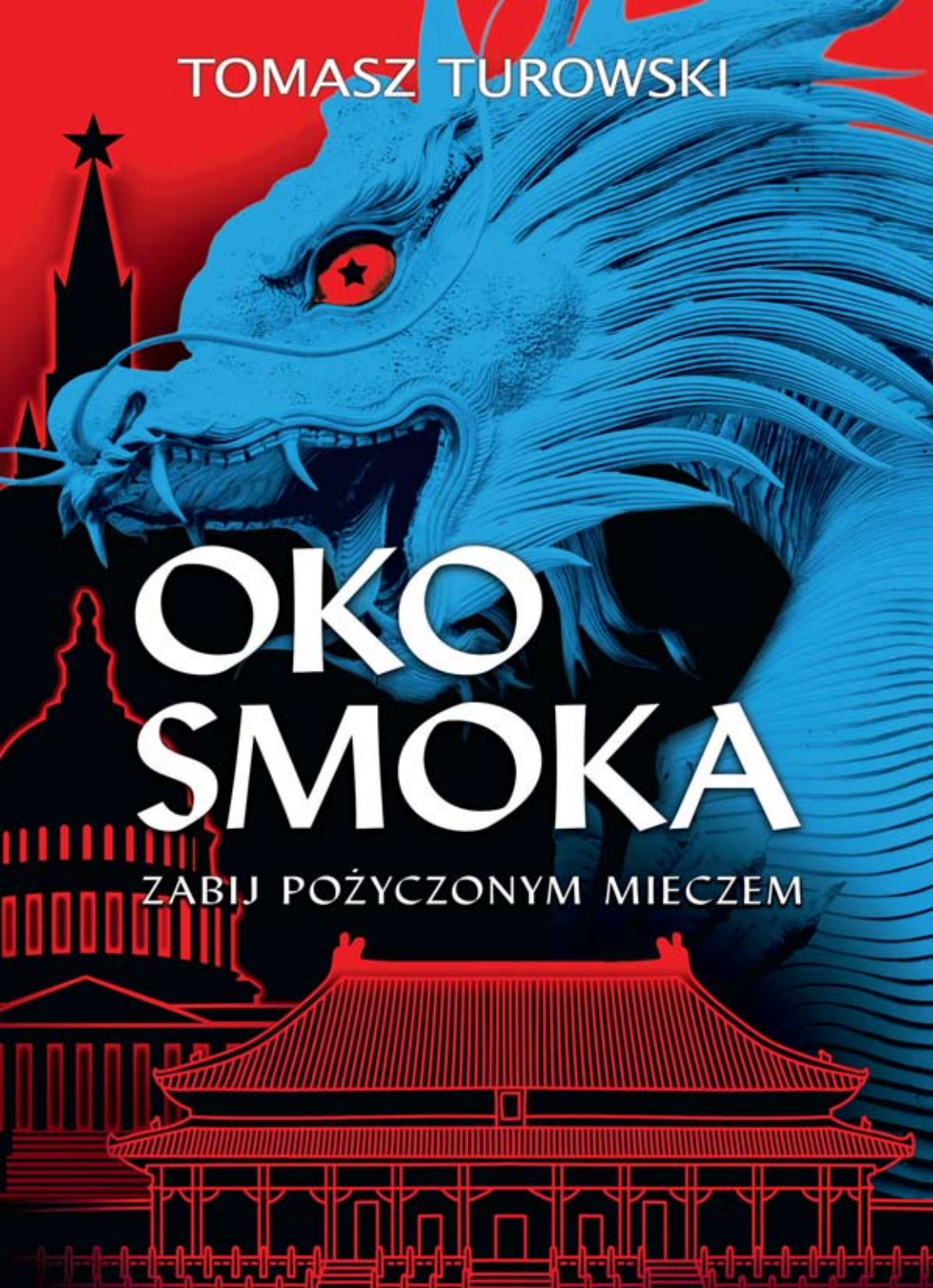


The background of the cover is a vibrant red. A large, blue dragon with a red star in its eye is the central focus. In the bottom foreground, there is a red line-art illustration of a traditional Chinese temple with multiple tiers and a curved roof. In the upper left, a black silhouette of a spire with a star on top is visible.

TOMASZ TUROWSKI

OKO SMOKA

ZABIJ POŻYCZONYM MIECZEM

OKO SMOKA

[Kup książkę](#)

TOMASZ TUROWSKI

OKO SMOKA

ZABIJ POŻYCZONYM MIECZEM

Tytuł serii zaczerpnięty został z chińskiego dzieła
„Trzydzieści sześć forteli wojennych”,
pochodzącego prawdopodobnie ze schyłkowego okresu
dynastii Ming lub wczesnego okresu dynastii Qing.



PODZIĘKOWANIA

Mojej żonie Marii Victorii za cierpliwość i stworzenie mi, wielkim nakładem sił, idealnych warunków do pracy twórczej. Córcie Gabrieli nie tylko za przepisywanie tekstu, ale także za cenne uwagi stylistyczne. Kolegom z polskiego wywiadu, tym aktywnym i tym w stanie spoczynku, za fachowe konsultacje. W szczególności dla Jana Henryka Lareckiego, przewodnika po meandrach służb specjalnych ziemskiego globu, bez którego fundamentalnego dzieła „Wielki leksykon tajnych służb świata” trudno by się było zarówno autorowi, jak i czytelnikom, odnaleźć w tym labiryncie.

Autor



POSTACIE W KOLEJNOŚCI ALFABETYCZNEJ

GŁÓWNE

Caagan Bee *alias Li Weng alias Biały Szaman*

Chen Xiaogang – generał, szef Er Bu Qingbao bu, czyli Wywiadu
II Zarządu Sztabu Generalnego Chińskiej Armii Ludowo-Wy-
zwolenczej

Coleman – prezydent USA

Craft Nigel – kadrowy pracownik CIA, członek specgrupy w bazie
nad Katunią

Gromow Wasilij – generał, komendant bazy nad Katunią, swego
czasu uratował życie Pawłowi (vide: „Krwawiące serce Azji”)

Iwanow Władimir Władimirowicz – prezydent Federacji Rosyj-
skiej

Knight Kelly – ratowniczką medyczną, operatorką CIA, członkini
specjalnej grupy Agencji w bazie katuńskiej

Korabliow – generał, szef GRU (Głównego Zarządu Wywiadowczego Sztabu Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej), czyli wywiadu wojskowego

Kowalski – generał, zastępca szefa Syrbaru – wywiadu Kazachstanu, dobry znajomy Pawła z okresu opisanego w „Krwawiącym sercu Azji”

Naryszkin Władimir – generał, szef Służby Wywiadu Zagranicznego Federacji Rosyjskiej (SWR)

Nieczajew – pułkownik SWR w bazie katuńskiej

Ojun – szamanka z rejonu Tierie-Cholskiego Tuwy

Paweł – oficer polskiego wywiadu w stanie spoczynku, wcześniej zaangażowany w akcje opisane w trylogii „Dżungla we krwi”, „Krwawiące serce Azji”, „Moskwa nie boi się krwi” oraz w powieści „Egzekucja”

Sanders Timothy – kadrowy pracownik CIA, członek specgrupy katuńskiej

Song Tao – naczelnik Wydziału Kontaktów Międzynarodowych Komunistycznej Partii Chin w randze ministra

Wright Anthony – szef specgrupy CIA wysłanej do bazy nad Katurnią

Xianmei – żona Li Wenga (Caagana Bee)

Xing Yunming – generał, szef Zhongzheng Lianbao Bu – wywiadu Głównego Zarządu Politycznego armii chińskiej

Xu Jucheng – prezydent Chin, I sekretarz Komunistycznej Partii Chin

Yu Shanjun – generał, dowódca chińskiej tajnej policji wojskowej Baowei Bu

Zhiying – syn Xianmei i Li Wenga o imieniu znaczącym „wyjątkowy bohater”

POZOSTAŁE POSTACIE

Andriej – geolog rosyjski, członek wyprawy zwiadu geologicznego w Mongolii

Asylbek – kucharz wyprawy geologów, muzułmanin

Bishop Vaughn – zastępca dyrektora CIA ds. operacyjnych

Black Jeff – kadrowy pracownik CIA, członek katuńskiej specgrupy

Brown Andrew – rezydent CIA w moskiewskiej ambasadzie USA

Chaczaturów Jurij – sekretarz generalny ODKB (Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym)

Chong Biu – analityk Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego Chin (Guó'ānbù)

Czernow – kapitan Specnazu

Dubnin – generał dowodzący akcją obronno-ratunkową w Ałtajskim Centrum Optyczno-Laserowym

Iwanow – major SWR

Khenbish – towarzysz Caagana Bee o imieniu znaczącym „nikt”

Lin Pin – sinolog, członek specgrupy CIA w bazie katuńskiej

Nergui – towarzysz Caagana Bee, o imieniu znaczącym „bezimienny”

Nerguj – szaman tuwiński

Purev – Tuwinka, przywódczyni grupy koczowniczej

Siergiej Aleksandrowicz – szef Ałtajskiego Centrum Optyczno-Laserowego im. Hermana Titowa

Stanley, Bob i Fred – bracia, informatycy, członkowie specgrupy CIA

Wei – major, szef ekspozytury Er Bu Qingbao bu w Urumczy

Wowa i Sasza – ochroniarze Centrum Ałtajskiego

Zoorgbatar – starszy osady nomadów, sojusznik Nerguja

i inni incydentalnie...

MIEJSCA AKCJI:

[Chiny]

Pekin

pogranicze rosyjsko-chińskie

Urumczy, stolica autonomicznego regionu Sinciang

[Federacja Rosyjska]

Kraj Ałtajski

Autonomiczna Republika Ałtaju

Barnauł, stolica Kraju Ałtajskiego

Gornoałtajsk, stolica Republiki Ałtaju

Jasieniewo (dzielnica Moskwy, siedziba SWR)

Kungurtug (stolica okręgu Tierie-Cholskiego Tuwy)

Kyzył (stolica Tuwy)

Moskwa

Nowosybirsk

Republika Tuwy

Sawuszka (wieś)

Ust' Koksa

[Finlandia]

Helsinki i okolice

[Kazachstan]

Ałmaty (Ałma Ata), dawna stolica

Astana (Nur-Sułtan), aktualna stolica

[Mongolia]

Chubsuguł (jezioro)

Chüjten orgil (*mong.* „chłodny szczyt”)

Ölgij (miasteczko i jego okolice)

Pogranicze rosyjsko-mongolskie

[Polska]

Warszawa

[USA]

Langley (kwatery główna CIA)

i inne incydentalnie

KRYPTONIMY OPERACJI

„**Meteor**” – rosyjski program anihilacji obiektów kosmicznych

„**Mongolskie jarzmo**” – operacja Er Bu Qingbao bu (konfrontowanie Rosji z USA i wciąganie Kremla w orbitę wpływów chińskich)

„**Kły smoka**” – operacja SWR w sprawie wyjaśnienia ataku na Ałtajskie Centrum Optyczno-Laserowe im. Hermana Titowa

„**Promień**” – operacja GRU w Ałtajskim Centrum

„**Zabić zabitego**” – kryptonim akcji gen. Chena, „trzydziesty siódmy fortel”

Wszelkie podobieństwo osób, zbieżność nazwisk i miejsc oraz wydarzeń jest efektem fabuły literackiej i przez to fikcyjne oraz w pełni przypadkowe.

*Czuwającym nad tym, aby żadna ze stron
globalnej konfrontacji nie uzyskała decydującej przewagi,
wiodącej do totalnej zagłady,
ludziom wszystkich wywiadów – poświęcam*
Autor



PROLOG

Znad wody unosiła się poranna mgła, częsty gość o tej porze roku w bałtyckich zatokach. W miarę podnoszenia mlecznej kurtyny pojawiał się za nią zarys miasta, jaki zwykle się nazywać panoramą albo nowocześniej *skyline*, a co w tym przypadku byłoby nieprecyzyjne, bo brakowało w niej bijących w niebo wieżowców.

Wpływający do portu turysta mógł odnieść wrażenie, że, mimo niezaprzeczalnej urody, wpływa do gubernialnego miasta dziewiętnastowiecznej carskiej Rosji. Wrażenie to potęgowały cebulaste wieżycy prawosławnego soboru Zaśnięcia Matki Bożej o czerwonych, ceglanych ścianach. Równoważyła je swym symetrycznie białym masywem luterańska katedra, o czterech portykach, z których każdy spoczywał na sześciu kolumnach. Przed świątynią widać było Plac Senacki z gmachem mieszczącym ten przybytek władzy świeckiej.

Gdyby ktoś wciąż nie wiedział, gdzie dotarł, przypominała mu o tym forteca morska Suomenlinna, zbudowana wprawdzie jeszcze

przez Szwedów, ale zmodernizowana już przez Rosjan, z gwiaździstym układem fortów, przypominających te, które wznoszono na różnych zależnych od carskiej Rosji obszarach, jak choćby w Warszawie.

Wrażenia tego nie burzyły inne budowle, jak choćby modernistyczny centralny dworzec kolejowy, czy futurystyczny pomnik Sibeliusa. Zresztą, gdyby przybysz chciał lepiej zorientować się w topografii tego ponad sześćsettyśięcznego miasta i skorzystał z wielkiego widokowego koła młyńskiego w wesołym miasteczku, to ujrzałby Aleksanterinkatu, główną ulicę handlową nazwaną tak na cześć cara Aleksandra I, czy też budynek teatru, także noszącego imię Aleksandra. Takie elementy nie pozwalają zapomnieć, że jest się na terytorium byłego autonomicznego obszaru „białej” Rosji. Równocześnie ujrzałby ulicę Mannerheima, który w czasie kampanii fińskiej obronił w śmiertelnym, zimowym starciu niepodległość Finlandii przed Rosją „czerwoną”.

Wszystko w tym mieście było symetryczne, wyważone i politycznie poprawne. Dlatego właśnie wybrali to miejsce na spotkanie przywódcy dwóch globalnych mocarstw, zdolnych do doprowadzenia na świat nuklearnego armagedonu. Poprzedziły je wymiany propagandowych awantur i ekonomicznych sankcji, zamaskowanych pseudo-etyczną retoryką. Helsinki idealnie pasowały do takiego spektakularnego dialogu, uwzględniając długą tradycję mediacyjną tego miasta, w którym już przecież zapadały decyzje dotyczące normalizacji stosunków Zachodu i Wschodu, dwóch obozów o skrajnie różnych systemach polityczno-gospodarczych, na dodatek militarnie skonfrontowanych.

Jeden z uczestników spotkania, prezydent USA Coleman, reprezentował kraj tryumfującego kapitalizmu liberalnego, roszczący sobie, szczególnie z przyczyn ekonomiczno-militarnych, pretensje

do globalnego przywództwa. Jego chwytyliwe dla wyborców, trącające populizmem, żeby nie powiedzieć nacjonalizmem, hasło wyborcze brzmiało: „Ameryka wielka natychmiast”. Doświadczenie biznesmena, jakie posiadał, pomagało w znajdowaniu metod wzmocnienia ekonomiki kraju, ale ręczne sterowanie mocarstwem, dobre w układach korporacyjnych, nie najlepiej się sprawdzało.

Drugi był inteligentnym autokratą, rozgrywającym partnerów dialogu i spoglądającym na nich chłodnymi oczyma, osadzonymi w twarzy pokerzysty bez wyrazu. Jego kraj zmagał się z wieloma trudnościami, jak choćby kryzysem demograficznym, ale rządzenie nim ułatwiała tradycja dumy obywateli z potęgi zbrojnej państwa. To właśnie jemu udało się ją odbudować i wykorzystywać jako argument nie tylko w polityce regionalnej, lecz także przy wprowadzaniu Rosji na arenę światowych zmagania. Przy tym Rosjanie zawsze wierzyli w dobrego cara i złych urzędników, co ułatwiała suwerenowi, Władimirowi Władimirowiczowi Iwanowowi, kierowanie obywatelami euroazjatyckiego olbrzyma.

Było jednak coś, co łączyło obu negocjatorów. W przypadku pierwszego było to na pozór niezauważalne. W przypadku drugiego o wiele bardziej wówczas widoczne. I obaj, choć może ten pierwszy trochę bardziej, nie zdawali sobie z tego w pełni sprawy.

Oba mocarstwa były bowiem imperiami schyłkowymi, z wolna, jak niegdyś Rzym, staczającymi się po równi pochyłej. W dodatku na horyzoncie wznosił się gigant, którego cień padał już na strefy wpływów obu uczestników rozmów. Państwo Środka nieśpiesznie zdobywało coraz to nowe przyczółki na całym świecie. Nie musiało tego robić „now”, natychmiast, zaraz, jak w hasle Amerykanina. Śpieszyć się mogą nuworysze z nieco ponad dwustuletnią historią. Państwu, którego istnienie sięga powyżej pięciu tysięcy lat, po prostu tak nie wypada.

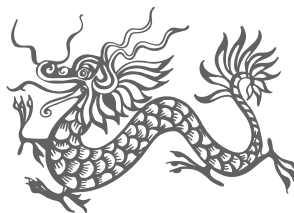
Niezbyt bystry obserwator areny światowej zachnie się: „ależ Ameryka to największa gospodarka świata, to waluta będąca fundamentem kontraktów energetycznych, to armia, na którą wydają się około siedmiuset miliardów dolarów rocznie, to ponad osiemset baz wojskowych, rozsianych po całym globie. I to ma być moment schyłkowy?!”. Otóż może jeszcze nie upadek, ale jego początek. Największa gospodarka świata ma coraz silniejszych konkurentów – Chiny, Unię Europejską czy nawet BRICS (Brazylia, Rosja, Indie, Chiny, RPA). Największa ekonomia świata jest zarazem tą, która generuje największy dług publiczny. Dolar, w przypadku powstania zamienników, w tym opartych na złocie, czego symptomy są już widoczne, będzie wart tyle co papier, na którym go wydrukowano. Sieć baz, która wprawdzie nabija kiesę producentów broni, powoduje dalsze zadłużenie, w tym zewnętrzne. Ta gospodarka osiągnęła maksimum. Dalej możliwa jest tylko implozja. Tak jak w kosmosie – z giganta do karła. Nie jest to oczywiście kwestia najbliższych lat, ale średniej perspektywy czasowej już tak.

Gospodarka drugiego rozmówcy, borykając się z trudnościami stymulowanymi drogą sankcji przez pierwszego, znajdowała się w stanie chwiejnej równowagi. Z jednej strony Kreml potrzebował zachodnich, czyli amerykańskich, technologii. Choćby po to, by eksploatować niezmiernie bogactwa Syberii. Nie miał jednak zamiaru ulegać dyktatowi USA. Z drugiej strony nęciła go perspektywa sojuszu z Chinami. Tyleż nęciła, co napełniała obawą przed ekspansjonizmem Pekinu, który zdaniem Rosji skierowałby się właśnie ku Syberii. Tymczasem potencjał nuklearny i unowocześnione środki jego przenoszenia tudzież obrony przed reakcją potencjalnego przeciwnika, zapewniały Iwanowowi przetrwanie w roli gracza na światowym poziomie.

Zdawał sobie jednak sprawę z faktu, że taki stan rzeczy nie mógł trwać wiecznie.

Obecność tych dwóch eminentnych postaci nieco ożywiła miasto – tłumy dziennikarzy, komentatorów politycznych, orszaki dworaków, towarzyszące bohaterom wydarzenia, zrobiły swoje. Spotkanie nie przyniosło jednak istotnych zmian w relacjach obu stron. Ta pierwsza zaznaczyła wolę kontynuacji dialogu, jednak bez rezygnacji z polityki nacisków i powstrzymywania. Ta druga uzyskała potwierdzenie swego statusu mocarstwowego. Więcej nawet, dzięki histerii rozpętanej przez media „wolnego świata”, upatrującego w każdym ruchu jej przywódcy wpływu na nastroje społeczne innych społeczeństw, z wynikami wyborów włącznie, doprowadziła do jego nadmiernego wypromowania jako protagonisty wydarzeń światowych, demiurga, od którego zależy wszystko i wszędzie – od klęski suszy począwszy, na oberwaniu chmury kończąc.

W efekcie obaj panowie rozjechali się do swych stolic, odbierając proporcjonalne dawki krytyki i komplementów, co i tak niczego realnie nie zmieniało.



I

Andriej otworzył oczy – śniła mu się Moskwa i pozostawiona w niej Irina. Nie wiadomo czy bardziej dziewczyna od przypadku do przypadku, czy już kandydatka na narzeczoną. W każdym razie sen był miły. W odróżnieniu od przebudzenia w namiocie. Rozsuwając zamek błyskawiczny śpiwora, poczuł coś w rodzaju lekkiego trzęsienia ziemi. „O, zaczynają już próby sejsmiczne”, pomyślał.

Siedział tu już od miesiąca. Tu czyli w Mongolii, niedaleko miasteczka Ölgij. Był członkiem ekipy geologów rosyjskich, poszukujących na prośbę władz tego kraju cennych minerałów, głównie metali nieżelaznych. Były szanse na ich znalezienie, choćby na zasadzie lustrzanego odbicia złóż podobnych do tych w Oskemenie, na pobliskim wschodzie Kazachstanu. Miejsce, w którym się znajdowali, było niezwykle interesujące pod względem geopolitycznym. Przebywali wśród wzgórz Sajanów, pasma górskiego na zachodzie Mongolii, bliżej Cheeszef i Tsengel niż wspomnianego

Ölgij. Z ich bazy widać było Chüjten orgil, wierzchołek górski Chin na granicy z Mongolią. Andriej miał nieodparte wrażenie, że są stamtąd śledzeni, ale w sumie niewiele go to obchodziło. Nie wykonywali przecież żadnej tajnej misji. Dalej na zachód była już matuszka Rosja i region kosz-agacki, gdzie przy granicy z Chinami, w dorzeczu rzek Argun i Katuń, stacjonowała, ot tak, na wszelki wypadek, jednostka Specnazu. Było to w tym trudnym, górzystym terenie konieczne dla ewentualnego wsparcia szczupłych oddziałów wojsk pogranicza. Jeszcze dalej na zachód leżał Kazachstan, a konkretnie jego obwód Katonkaragay, z ośrodkiem przemysłowym Oskemen. Znajdowali się więc blisko podobnego gardzieli przesmyku, dzielącego, a zarazem łączącego cztery państwa: Mongolię, Rosję, Chiny i Kazachstan.

Andriej przeciągnął się, aż zatrzeszczały kości, podniósł na całą swą, prawie dwumetrową wysokość i tradycyjnie wyróżnął głową w drążek podtrzymujący dach namiotu. Zdegustowany, doszedł do wniosku, że tym razem zrezygnuje z porannej gimnastyki. Zresztą musiał się pośpieszyć, bo koledzy, co było słychać i czuć, wzięli się już do roboty. Wyszedł na zewnątrz. Słońce też już wyszło zza wzgórz i solidnie operowało. W tych okolicach lata, podobnie jak i zimy, były intensywne i gwałtowne. Przeszedł koło ich mongolskiego przewodnika i kucharza zarazem, muzułmanina kazachskiego pochodzenia, skinąwszy mu na powitanie:

– Witaj, Asyłbek. Widzę, że będziemy mieli jagnięcinę na obiad – skomentował.

Kucharz właśnie podryzał gardło owcy, wykrwawiając ją przed uśmierceniem i poćwiartowaniem. Andriej nie znosił tych praktyk, ale cóż, jeść trzeba, a członkowie grupy eksploracyjnej nie mieli czasu pichcić sobie pożywienia. Zresztą nie tylko jego otrząsało na widok takiego sposobu zabijania zwierząt. Gdy

w rejonu działań ich zwiadu geologicznego zapuszczali się na swych reniferach Tuwińcy z gór altajskich, z rejonu jeziora Chub-suguł na północnym pograniczu Mongolii z Rosją, też patrzyli na to z dezaprobatą zmieszaną z pogardą. Podobnie jak ich pobratymcy z tuwińskiego plemienia Sojotów, żyjącego w paśmie górskim Sajanów. Wielu spośród nich było wyznawcami szamanizmu. A ta tradycja zakazuje podrzynania gardeł zwierzętom czy też ablucji w bieżącej wodzie. Akurat tego, co czynił z owcami Asyłbek i geolodzy, myjący się w przepływającym obok ich obozu strumieniu.

Wprawdzie w kontekście innych mongolskich wyznań – buddyzmu typu tybetańskiego, czyli lamaizmu, czy islamu, szamanizm był religią szczątkową, ale niemniej istniejącą i żywą. Przyroda, zdaniem szamanistów, jest „przesiąknięta” duchami. Asyłbek i geolodzy byli w oczach Sojotów świętokradcami – obrażali duchy zwierząt i strumienia. Co więcej, jeśli coś odkryją, spowodują jeszcze większe rany Matki Ziemi, niszcząc wiele duchów natury.

Dlatego miejscowi szamaniści uważali, że działania ekipy geologicznej nie mogą jej ująć bezkarnie.



W jednym z małych ułusów, niezbyt odległych od obozowiska geologów, szaman Boo, czyli męski (bo są też szamanki), zsiadł z konia i skierował się do letniego czumu – jurty podobnej do indiańskiego tipi. Stożkowata konstrukcja z drewnianych pali była obłożoną korą modrzewia. Skierowane ku wschodowi (bo pozostałe kierunki, oprócz południowego, to krainy ciemności, zła i zmarłych) małe drewniane drzwi uchyliły się przed Nergujem.

Gospodarz zaprosił go do środka. Na wyłożonej skórą ziemi siedziała jego żona i dziecko, mały chłopczyk.

– Zoorgbatarze, chciałbym z tobą porozmawiać w cztery oczy – zagadnął Nerguj.

Ten ruchem głowy wskazał kobiecie drzwi. Po chwili byli już sami. Nerguj włożył za pas kamicę, charakterystyczny krótki pejcz, spleciony z pasków skóry, u drewnianej nasady którego widniały małe pęczki futra, „zamówione” przez szamana przeciw złemu losowi.

– Wiesz, że niedaleko stąd grupa Rosjan i ten ich przewodnik wciąż urągają naszym tradycjom? – głos Nerguja drgał z emocji.

– Słyszałem... I codziennie nad tym boleję.

– Nie wystarczy ubolewać! – zachnął się Nerguj i podniósł głos.

– Trzeba działać! Nie można na dłuższą metę tolerować ich bezeceństw!

– Zgadzam się z tobą, Nerguju – Zoorgbatar pochylił głowę.

– Skoro tak, to trzeba zwołać dziś wieczorem wszystkich mężczyzn z ułusu. Zapytamy duchy o radę. Niech ich wyroki określą los tych niewiernych i drogi naszego działania.

– Uczynię tak, jak mówisz. Zwołam dziś wieczorem mężczyzn ułusu i będziemy na ciebie czekali.

– Dobrze Zoorgbatarze, mam nadzieję, że się na tobie nie zawiodę. Powrócę po zachodzie słońca – rzucił na odchodnym Nerguj, siadając na wierzchowca, którego następnie zmusił do galopu lekkim uderzeniem kamicy.

Gdy nad ułusem zapadał zmierzch, wszyscy mężczyźni wyszli poza grupę jurt, udając się w dolinę między dwoma pobliskimi wzgórzami. Zoorgbatar wybrał to miejsce nieprzypadkowo. Uznał, że zapewniało ochronę przed niepowołanymi oczyma ciekawskich, chociaż na tym pustkowiu trudno było znaleźć ludzi. Jeśli już, to

mógł na nich spoglądać ze wzgórz wilk, niedźwiedź albo z powietrza nocny ptak, ale na pewno nie dron.

Mężczyźni przygotowali najpierw drwa na ognisko, ustawiając je w stożek, by się mogły łatwiej zająć. Obok położyli gałązki jałowca, a potem, krzyżując nogi, usiedli w kręgu wokół przygotowanego paleniska. Nagle jeden z nich zaczął gestykulować, wskazując pozostałym wielki szkarłatny krąg zachodzącego słońca. Na jego tle widać było wyraźnie, jak na ekranie chińskiego teatru cieni, sylwetkę jeźdźcy, który zaczął szybko zbliżać się po stoku pagórka w kierunku zebranych. Po chwili rozpoznali Nerguja. Był ubrany w długą jasną szatę obszytą futrem. Jego głowę przykrywała skórzana czapka z sokolimi skrzydłami przymocowanymi do niej pionowo z obu stron.

Nerguj przywitał się najpierw z Zoorgbatarem, jako starszym koczowniczej osady, następnie skłonił się przed pozostałymi, po czym wziął w ręce przytroczony do siodła okrągły bębenek pokryty napiętą skórą. Drugą ręką ujął drewnianą pałeczkę. Jeden z obecnych podpalił stos. Nerguj usiadł w pobliżu ognia, medytując.

Tyń, dusza oddechu, pan życia, miała pomóc mu dokonać wyboru. Nie było to proste, gdyż musiał bronić jej przed drugą duszą, Kut', która mogła przywieść do nich złe duchy, chorobę lub śmierć. Najbardziej liczył na pomoc trzeciej duszy, S'ur. To dusza szamańska, wędrująca wśród zebranych podczas tych obrzędów, podczas kamłania.

Po chwili rozległ się jego gardłowy śpiew i nadające mu rytm dźwięki bębena. Śpiewał o wielkim błękitnym niebie, o bezkresnej przestrzeni łąk, stepów, pustyni i gór, po których swobodnie, jak orły po nieboskłonie, mogli wędrować potomkowie Czyngis-chana. Gęstniał mrok, rozchwiane podmuchami wiatru płomienie

rozpoczęły taniec cieni na oświetlonych połaciach łąki. Gałązki jałowca żarzyły się na zwęglonych polanach, wydzielając intensywną, aromatyczną woń. Śpiew szamana powoli przechodził w melodeklamację.

– O, S’ur! Poprowadź duszę moją, poprowadź mnie do ducha wody i zwierząt, aby powiedział mi o ich krzywdzie...

Tempo deklamacji narastało, rytmiczne kołysanie ciała Nerguja przeistoczyło się w taniec. Zaczął krążyć wokół ogniska w takt frenetycznego bębnienia. Nagle zamilkł i zamarł, z szeroko otwartymi oczyma. Był nieobecny, jego szamańska dusza nawiązała kontakt z duchami przyrody. Zamiast śpiewu z jego ust wyrwało się gardłowe:

– Krew tego, który przelewa krew zwierząt, musi popłynąć. Ci, którzy beczeszczą wodę, muszą poczuć wodospad biczków. Ci, którzy wstrząsają Matką Ziemią, muszą być naznaczeni, jak ostrzem kamienia, a ich maszyny i jurty obrócone w perzynę...

Przez chwilę jeszcze trwał jak w katalepsji. Później zaczął mrugać powiekami skośnych oczu. Powoli zwrócił spojrzenie ku Zoorgbatarowi.

– Czy coś mówiłem? Co słyszeliście?

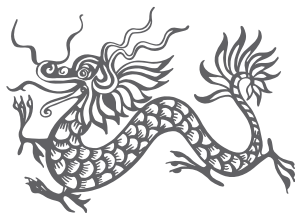
– Przemawiała przez ciebie twoja S’ur. Przekazała nam przesłanie od duchów zwierząt, wody i ziemi.

– Jakie?

Zoorgbatar powtórzył słowa szamana.

– Więc wiecie już, co macie robić – odparł Nerguj. – I zróbcie to szybko! – dodał gwałtownie.

Wsiadł na konia i zniknął w mroku jak duch, bo dźwięki końskich kopyt skutecznie tłumiła gęsta trawa doliny...



II

Astana, powstała na pustkowiu nowa stolica Kazachstanu, była dziś wyjątkowo ruchliwa. Do ośrodka rządowego zajeżdżały delegacje, którym przewodniczyły głowy państw – członków Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym (ODKB). Byli wszyscy w komplecie – Białorusini, Ormianie, Kirgizi, Tadzycy, gospodarze Kazachowie, no i oczywiście Rosjanie. Afgańcy i Serbowie przybyli w roli obserwatorów. Ci, którzy byli tu pierwszy raz, z podziwem lub w osłupieniu patrzyli na bizantyjski przepych, który nadał miastu Nursułtan Nazarbajew, przez lata prezydent i jedynowładca republiki.

– Niedawno nasze siły szybkiego reagowania skończyły w Tadżykistanie manewry „Wędrowny Sokół” – rozpoczął sekretarz generalny organizacji, Jurij Chatczaturów, który przeszedł do meritum od razu po oficjalnym otwarciu obrad. – Wszystkie jednostki wykonały swe zadania, a co najważniejsze – mimo niespodziewanego alarmu – były w stanie w ciągu doby wyjść w komplecie na

pozycje bojowe. To nas może cieszyć. Nasza tarcza antyterrorystyczna jest skuteczna... – na chwilę zawiesił głos. – Pojawiły się jednak inne problemy, wymagające działań bardziej subtelnych. Omówią je na zamkniętym posiedzeniu szefowie państw ODKB...

W pałacu prezydenckim Ak Orda, położonym niedaleko bulwarów nad rzeką Iszym, w kwadracie prospektów Mangilik el Dostyk, Dynmuhameda Konajewa i nabrzeżem Sol Żaranaj, zwanym lewym nabrzeżem, zebrali się przywódcy organizacji. Kapiący z zewnątrz wschodnim przepychem pałac, krył w swych olbrzymich pomieszczeniach także i te, które były zabezpieczone antypodszuchowo według ostatnich światowych standardów, stanowiąc idealną przestrzeń dla poufnych rozmów. W takiej właśnie sali, mieszczącej się blisko prezydenckiej rezydencji i posadowionej poniżej poziomu fundamentów kolosalnej budowli, zebrali się ludzie decydujący o działaniach tego militarnego ugrupowania, głośno artykułującego w mediach wyłącznie cele obronne. Po omówieniu spraw bieżących, w tym zawsze budzących emocje kwestii finansowania, przywódcze gremium przeszło do jeszcze delikatniejszych spraw, które uzasadniały tak daleko posunięte środki ostrożności przed niepowołanymi uszami.

Zaczął prezydent Kazachstanu, który przez lata konsekwentnie realizował politykę „kazachizacji” kraju, dystansując się, choć nie w sposób agresywny, od rosyjskiej dominacji, także kulturowej. Nie przez przypadek stopniowo przechodzono w tym kraju z cyrylicy na alfabet łaciński, nie przez przypadek przeniesiono stolicę z Ałmaty do Astany. Jeśli jednak ktoś pomyślałby, że główną przyczyną tych przenosin były piękne prawosławne sobory i zakorzenione wpływy rosyjskie w dawnej Ałma Acie, byłby w błędzie. Stara stolica znajdowała się zbyt blisko granicy z Chinami, których ingerencji w sprawy wewnętrzne kraju władze Kazachstanu

sobie nie życzyły. Uznano, że tego rodzaju działaniom można było skuteczniej zapobiegać w północnej stolicy.

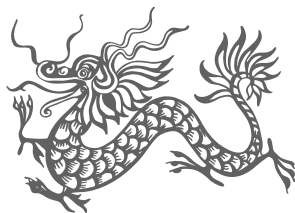
– Jesteśmy świadkami coraz silniejszego chińskiego ekspansjonizmu na nasze terytoria – stwierdził Kazach. – Nie mamy nic przeciw rozbudowanej współpracy ekonomicznej, transgranicznej czy wymianie kulturalnej. Gdy jednak zauważamy, że Pekin próbuje przykładąć rękę do wymiany ministrów w naszym rządzie lub przy obsadzie stanowisk w administracji, szczególnie w regionach przygranicznych, budzi to nasz sprzeciw i uzasadniony niepokój. Rozumiemy też, że ostrze naszej organizacji nie może być wymierzone przeciw temu mocarstwu, bo to by i tak nic nie dało, poza zaostrzeniem antagonizmów w regionie. Musimy więc jakoś skoordynować dyplomatyczne wysiłki, mające na celu, jeśli nie ograniczenie tego procesu, to przynajmniej jego ucywilizowanie i skanalizowanie, pozwalające na lepszą jego kontrolę...

Prezydent Rosji, dotąd milczący, był w duchu wdzięczny gospodarzowi za to, że właśnie on poruszył problem, o którym Rosjanin zamierzał mówić. Poprosił o głos.

– Zgadzam się w pełni z przedmówcą – oświadczył. – Mamy podobne doświadczenia, a w dodatku... dłuższą wspólną granicę – zabrzmiało to nieco żartobliwie, ale większość zebranych poważnie pokiwała głowami. – Szczególnie ostro widać symptomy infiltracji naszego południowo-wschodniego sąsiada, republiki Tuwy. Pozwólcie na pewną dygresję, bo Tuwa, choć mało znana, ma długie tradycje państwowe. Niegdyś dobrowolnie stała się autonomicznym fragmentem Rosji. Ten koczowniczy lud bał się kulturowego imperializmu chińskiego i wolał być kresowym obszarem Rosji, teraz Federacji Rosyjskiej, niż zmagać się samotnie z przeważającą potęgą Chin. – Przerwał na chwilę, by potoczyć wzrokiem po zebranych, jakby chciał wyczytać z ich

twarzy stanowisko sojuszników wobec tej historycznej decyzji. – Moskwa zawsze doceniała decyzję Tuwy i stara się respektować jej odrębność, choć nie jest to łatwe. Choćby w związku z dużymi projektami gospodarczymi, realizowanymi tam w sektorze surowcowym. Są tam między innymi kopalnie złota, a niedaleko, w autonomicznej Chakasji, złoża węgla. W sumie panuje tam duży ruch, co, uwzględniając napływ fachowej siły roboczej, nie sprzyja zachowaniu tradycji. W międzynarodowym tyglu fachowców jest też wielu Chińczyków, których osadnictwo w Tuwie staramy się ograniczać i kontrolować, niestety niezbyt skutecznie – zawahał się na chwilę, jakby chciał zdecydować, czy podzielić się z zebranymi końcową informacją. – Najlepszy dowód na powagę sytuacji to fakt, że do Dumy, do naszego parlamentu, zaczęły napływać skargi ludności rosyjskiej, iż zaczyna być prześladowana w Tuwie, a inspiratorami tych antyrosyjskich nastrojów są ulokowani w tuwińskiej gospodarce chińscy biznesmeni!

Następująca po tyradzie Rosjanina bardzo ostrożna wypowiedź Kirgiza potwierdziła tylko coraz częściej występującą obecność syndromu chińskiego w polityce krajów regionu. Podsumowując ją, mówca stwierdził, że wiele na ten temat mógłby opowiedzieć przywódca Mongolii, gdyby znajdował się na tej sali. Wątek „obecności chińskiej” zamknięto, bez sformułowania konkluzji, powierając jedynie premierom zainteresowanych państw zadanie stworzenia tajnej mieszanej komisji, która postarałaby się wypracować pokojowe środki zapobiegawcze wobec trapiącego wielu członków ODKB problemu.



III

Andriej wsunął się do śpiwora w swoim namiocie. Dzień w obozie geologów przeszedł bez nadzwyczajnych wydarzeń, tak po prostu powszednio i prozaicznie. Jedynym akcentem ekstra był ten gastronomiczny – dzisiaj Asyłbek przygotował im jagnięta z różną, rzeczywiście smaczną. Przed udaniem się na spoczynek, Andriej, odpowiedzialny w ekipie za cyfrową interpretację sejsmicznych badań warstw geologicznych, obszedł swoje „gospodarstwo”. Wszedł do samochodowego kontenera, gdzie umieszczone były konsole operatorów komputerów, Tam też znajdowało się centrum łączności satelitarnej oraz interaktywne łącza z systemem satelitarnej identyfikacji i pozycjonowania w terenie – GLONASS, rosyjskiego odpowiednika GPS, z którego usług nie korzystali. Spojrzał przelotnie na złożoną na naczepie ciągnika wieżę wiertniczą, służącą do umieszczania na różnych głębokościach ładunków wybuchowych. Po ich odpaleniu uzyskiwano, dzięki odsłuchowi z geofonów, materiał porównawczy,

pozwalający następnie sporządzić mapę tego, co mieli pod nogami, ze szczególnym uwzględnieniem warstw minerałonośnych, przydatnych do eksploatacji. Rzucił okiem także na wóz z mobilnym warsztatem remontowym. Pozostałych pojazdów, czyli opancerzonego wozu patrolowego Tajfun, który – nieuzbrojony – służył im do eksploracji terenu, tudzież polowej sanitarki i dwóch starych waz-ów, pozwalających na wypadły do najbliższych zaludnionych osad, nie zaszczycił swoją uwagą.

Był zmęczony. W ciągu dnia był wraz ze swym zespołem analityków zavalony pracą. Tylko od czasu do czasu wychodził z półmroku poświaty ekranów komputerowych w kontenerze, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Podczas jednej z takich przerw z ulgą zauważył, że do segmentowej, przenośnej hali, służącej za wspólną jadalnię i salę zebrań, a także wyposażonej – co za luksus – w toalety, Asyłbek zaczął wnosić pojemniki z przygotowaną kolacją, co niechybnie oznaczało bliski koniec dniówki. Uniósł wzrok – na zielonym grzbiecie pobliskiego wzgórza dojrzał sylwetkę jeźdźca, który jednak szybko zniknął mu z pola widzenia. Nie było w tym nic niezwykłego czy niepokojącego. Tutejsi nomadowie nie raz przejeżdżali na koniach czy reniferach nie tylko obok obozu, ale nawet przez sam jego środek, jeśli to skracało im drogę.

Po kolacji Andriej skończył kolejny obchód, a teraz było już dobrze po drugiej w nocy, gdy zasunął zamek błyskawiczny śpiwora i zarzucił kaptur kurtki na głowę, co zwykł czynić, bo ułatwiało mu to zasypianie. Nie dane mu było jednak zasnąć, gdyż dobiegł go tętent kopyt. Ale nie taki, jaki słyszał normalnie. To był galop dużej grupy jeźdźców. „Pewnie tak brzmiały hordy Czyngis-chana, gdy parły w kierunku księstwa moskiewskiego, które zwasalizowały na długi czas”, przebiegło mu przez myśl. Nie zdążył zamknąć tej refleksji, gdy materiał namiotu pękł pod ciosami czegoś, co mogło być

maczetą albo szablą. Wskoczył ze śpiwora tylko po to, żeby wpaść pod kopyta jednego z najeźdźców. Tak, właśnie najeźdźców, bo nie miał już wątpliwości, że chodziło o atak na obóz. „Czemu?”, pulsowało w głowie retoryczne pytanie. Wstał z trudem, stwierdzając, że kończyny ma całe, ale nieznośny ból w klatce piersiowej sygnalizował złamane żebra. Dookoła rozgrywały się sceny, przypominające atak Indian na obóz osadników na Dzikim Zachodzie, tyle, że tu był wschód i dwudziesty pierwszy wiek. Szarżujący trzymali w rękach płonące pochodnie. Andriej z przerażeniem spostrzegł, że rzucili je na zbiorniki z benzyną, w tym na bak jego ruchomego laboratorium. Chwilę później w czerni nieba wzbłyły się gejzery płomieni i zagrzmiały wybuchy pojemników z paliwem. Stał, ślaniając się na nogach, ogłuszony i zarazem przerażony wydarzeniami. W obozie panował chaos. Nikt się nie bronił, no bo jak? Tymczasem, jeźdźcy biczowali pejcami rozbiegających się w różne strony geologów. Kątem oka zauważył, że za Asyłbkiem gna jakiś Mongoł. W zwolnionym tempie, jak na stopklatce filmu, zobaczył błysk broni i oddzielającą się od tułowia głowę kucharza. Ta chwila zagapienia kosztowała go drogo. Nie zauważył, że w pełnym pędzie prze niego jeden z napastników. Długi nóż ciął go po policzku. Chlusnęła krew. Spróbował językiem, czy rana jest głęboka. Język przeszedł na wylot przez prawy policzek. Stracił przytomność...

Kiedy ją odzyskał, nad obozem krążyła wielka ważka helikoptera, a druga spoczęła już na ziemi. Po prowizorycznym opatrzeniu go, sanitariusze zanieśli Andrieja na noszach do Mi-17, który wylądował na centralnej polanie rumowiska, które jeszcze niedawno było obozem. W przedziale pasażerskim helikoptera leżało już na podłodze kilka noszy z rannymi.

– A co z Asyłbkiem? – zabełkotał Andriej, niedowierzając fotografii zachowanej w pamięci.

– Staraj się nic nie mówić – upomniał go sanitariusz. – Tamten to, jak dotąd, chyba jedyna ofiara śmiertelna. Za to ty jesteś jedynym z najciężej rannych. Zaraz polecimy do dobrego szpitala, żeby cię chirurdzy złożyli i pozszywali. Nie martw się – dodał uspokajającym tonem, widząc przerażenie w oczach Andrieja. – Powinieneś się szybko z tego wylizać – podnosił go na duchu sanitariusz.

– Ale jak to możliwe, że tak szybko przybyliście? – z trudem wybełkotał Andriej.

– Jeden z waszych zdołał wezwać nas przez radiostację Tajfuną, którego bandytom nie udało się zniszczyć. I nie gadaj już tyle, bo ci to nie wyjdzie na zdrowie – strofował go sanitariusz.

Zanim zatrzęsnęły się drzwi helikoptera, Andriej zauważył lądujący kolejny, tym razem wojskowy śmigłowiec, z którego wyjechał wóz terenowy i wysypali się żołnierze z psami. Potem zapadł w coś w rodzaju omdlenia, stuporu, czy koszmarnego snu, który wypełniony był łomotem silników maszyny, unoszącej go ku tym, którzy mieli ocalić mu życie...

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki